TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 29. *Chicago, Ills., 13 Stycznia, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Takim był ks. kanonik Hodowski, który że do żadnych nigdy dostojestw akademickich nie aspirował, a mimo ubóstwa polepszenia bytu swojego nie pragnął, i nikomu nie zawadzał, znoszono go chętnie... Szanowano w nim też naukę i obawiano się jej, bo gdy kto z niepewnem zdaniem się wyrwał, nielitościwie zniecierpliwiony chłostał... Ks. Hodowski miał z całej rodziny jednę tylko siostrę zamężną za rządcą dóbr pańskich w Krakowskiem, która go rzadko odwiedzała, bo się po nim nie wiele spodziewać mogła. Żył zresztą samotny z książkami swemi, z pauprami, z ubóstwem; a że nikt jego i on nikogo nie szukał... oprócz w kościele, w kollegium i w ulicy lub na przechadzce w okolicy, rzadko go zobaczyć było można. Życie jego upływało regularnie, jednostajnie, spokojnie... Drzwi przedpokoju zaryglowane; gdy kto do nich zastukał, otwierała mrucząc milcząca stara gospodyni, potem sama pukała do drugich od pokoju, w którym kanonik zwykł był pracować, ale te nigdy się nie odmykały,

Przystęp do nich wzbroniony był profanom; ksiądz wstawał, wychodził do gościnnej izby i uchyliwszy jej drzwi, gościa do niej wprowadził.

A choćby najmocniej był zajęty i najczęściej mu przerywano, nigdy nikomu posłuchania nie odmówił.

Było właśnie południe jednego dnia jesieni, gdy do mieszkania zapukano; gospodyni poszła nie rzuciwszy marchwi, którą skrobała, otworzyć. W progu stał klecha, zarazem będący organistą i nauczycielem szkółki w jednej ze wsi okolicznych. Był to dawny wychowaniec ks. kanonika, człek dobry, ale na którym przecież Hodowski się zawiódł, bo dalej nad klechę nie postąpił. Znała go gospodyni pauprem jeszcze i nic nie odpowiadając na pozdrowienie, poszła do drzwi zapukać; po chwili ks. Hodowski otworzył gościnny pokój i w ciemnej sieni począł się przypatrywać przybyłemu.

— A! to wy, panie Grzegorzu? A no chodź — rzekł — co cię tu przygnało?...

Klecha pocałował w rękę kanonika i wsunął się kłaniając... Niech będzie pochwalony.

— Ty wiesz kochanku, że ja nigdy czasu nie mam — dodał Hodowski — mów a nie bałamuć. Ars longa vita brevis.

— Ja to za sierotą do dobrodzieja... ale to cała historya.

— Cóż ty chcesz?

— Jak w dym idź, o pomoc dla biednego chłopca.

— Cóż to tam za chłopiec...

— Sierota i biedota...

— Mało sierot na świecie... a zdolny? — spytał kanonik.

— O ile ja mogę sądzić, to bardzo, bardzo — rzekł klecha... Nic nie umie, ale taki umysł świdrowaty.

— Hę? świdrowaty? hę? — rozśmiał się profesor — jak ty to mówisz? hę? zkąd ty to wziął? dalipan... świdrowaty!!... świderliwy!!... świdrujący!!... jak sobie chcesz, dosyć żem cię zrozumiał... Świdrowaty twój... co zacz? co zacz?

Klecha westchnął... Kiedy bo to by długo gadać potrzeba... a inaczej to ksiądz kanonik mnie nie zrozumie...

Hodowski ruszył ramionami, cofnął się od progu do pokoju gościnnego, usiadł na krześle zaraz przy drzwiach i z rezygnacyą ręce złożywszy, czekał na opowiadanie klechy.

— Lat temu dziewięć, nieznajomy człowiek dziecko, jakoby sierotę przywiózł na Prądnik i u włościanina zostawił. Wzięli go dobrzy ludzie, jakby za własne, bo się więcej o nie nikt nie upominał... I byłby może chłopiec tam przy nich pozostał... gdyby nie to, że się przygoda nieszczęśliwa trafiła. Panicz ze dworu bawić się chciał z sierotą, a że to dumne licho, dzieci się powaśniły i chłopskie uderzyło... panicza... Skazano je na rózgi... więc uciekło...

— Tak, a ty chcesz, żebym ja tu takiemu wisusowi dał przytułek — rzekł kanonik... To taki ten twój świdrowaty! Ho! ho! świdrowaty! A toć on nic nie umie...

— Jam go potroszę uczył, bo miał do tego okrutną ochotę, można powiedzieć, że łykał mi z ust słowa chwytając... I proszę księdza kanonika, takie to jakieś osobliwsze dziecko, że go nigdy uspokoić nie było można, zawsze pytał: dla czego to? a czemu to tak... bez końca...

— Świdrowaty! świdrowaty! — powtórzył profesor -- a co ja z nim robić będę? Jeszcze z takim duchem bestyą, że się poddać nikomu nie chce i paniczów po łbie tłucze! Dobry początek... Ale cóż to, to chłopskie dziecko, jak myślicie, czy...

Ksiądz nie dokończył i spojrzał, a klecha spuścił oczy.

— Już tego to wiedzieć nie mogę — rzekł — ten co go przywiózł, mówił jakoby chłopskie dziecię było, ale mnieby się to nie zdało... za delikatnie wygląda...

— Więc to jeszcze może dziecię nieprawości jakiej i grzechu — odezwał się Hodowski.

— A cóż ono temu winno! — cicho ośmielił się bąknąć klecha.

— Masz asan słuszność — żywo podchwycił Hodowski — i cieszy mię, żeś to powiedział, bom asindzieja próbował... Dziecko nie winno wcale, a jeżeli w istocie opuszczone... trzeba się niem zaopiekować... trzeba. Poczciwy jesteś, żeś do mnie przyszedł... Gdzież ono jest? gdzie!

— Od grozy dworu i kary potrzeba to było przechować, zrazu na wsi — mówił klecha — potem aż tu w mieście. Nie było komu dziecka dać... więceśmy je umieścili nie koniecznie dobrze, na Kleparzu w gospodzie na posługach u gospodyni, która garkuchnię trzyma.

— A pfe! — zawołał ksiądz — zgubiliście dziecko co znowu! gdzie! jak!! śliczna akademia, gdzie pijaków i włóczęgów na oczach mieć będzie. Dawaj że mi go tu i o resztę się nie troszcz... Jeśli świdrowaty, ja mu dam co świdrować, ale chłopca, co panicza czubi, trzeba w ryzę wziąć, bo z taką naturą łatwo na szubienicę zajdzie...

Klecha wstał po skończonem opowiadaniu, księdza w rękę pocałował i zabierał się odchodzić — Ależ bo czekaj — rzekł Hodowski. Stancyą na poddaszu znasz.., a tam teraz nikoko nie było, pustki... stara Maciejowa może od pół roku do niej nie zajrzała, kazać jej oporządzić, to dwa tygodnie będzie gderać nim się zbierze. Ale czekaj... Weź ino miotłe w sieni... a ja klucze zabiorę i choć ze mną.

Profesor suknię plączącą mu się, ręką ujął, klucze z kołka zdjął... klecha stary miotłę, jakby tu wczoraj był, znalazł prędko, i oba wyszli spiesznie, a Maciejowa mrucząc tylko głowę za nimi wyściubiła z kuchni i pokiwała nią, zobaczywszy, że kluczów na kołku nie stało. Zrozumiała zaraz, co się święci, i że jedna gęba do karmienia im przybędzie. Wprawdzie chłopcem takim zwykła się też była posługiwać, potroszę, na co ksiądz przez szpary patrzał. Kanonik tymczasem z klechą po wązkich a ciemnych wschodach wdrapali się na poddasze... otworzono izdebkę, w której pająki wygodnie tkackie swe roboty posnuwały... Mała była, ciasna, zapylona, z łóżeczkiem zbitem z kołków i tarciszek, ze stołem o półczwartej nodze, i stołkiem kulawym. Lecz Hodowski, który dla siebie wiele nie wymagał, zwykł był wychowańców hartować... Był tu rodzaj piecyka wiele nie obiecującego... a okno światła dawało tyle, ile go ściśle było dla studenta potrzeba.

— Otwórz okno, niech powietrze wejdzie — zawołał kanonik i — trochę przymieść trzeba.

Klecha zrzuciwszy pychę z serca, zamiatać począł... nikt go nie widział. Hodowski znalazłszy podarty papier użył go do ścierania, opatrzył kąty wszystkie...

— Jeszcze tu nie jest tak źle — szepnął — jak myślałem. A młodość! ho! ho! dla niej to parada! Chłopiec ze wsi, wszakci w szopie i na wyżkach sypiał. Parada! parada!! Czego mu ma źle być!...

— Będzie doskonale! — dodał klecha.

— Ale pewno! młodość! młodość! mościdzieju — rzekł profesor — jak król Midas wszystko, czego dotknie w złoto obraca... Siana albo słomy Maciejowa się postara... Siennika wiem, że już niema, ale się obejdzie! nakryć... no! nakryć czem dam... Dzbanek do wody ten, któremu nos utłukli... ale bez niego się też posłużyć może... miskę kupię... Ot i cała ceremonia... Hę?

Klecha skończywszy zamiatanie głową potwierdza tylko...

— Przyprowadźże chłopca, wszystko gotowe — rzekł Hodowski — tylko słuchaj, nastrasz go dobrze, żem srogi, żem bardzo srogi, aby znał mores. Niech przyjdzie z tem wrażeniem... rozumiesz, że srogi jestem... Druga rzecz...

Kanonik przerwał i kiwnął głową. — Resztę ja mu sam powiem... tylko go przyprowadź...

Klecha znowu w rękę pocałował staruszka, miotłę zabrał, aby ją odnieść na miejsce, bo Maciejowa nie znosiła nieporządku, i zeszli tak na dół... milczący... Kanonik odprawił dawnego wychowańca, a sam wrócił do książek.

Już było kilka dni upłynęło od zniknięcia Janka ze wsi, i wieść o tym wypadku rozeszła się po okolicy, a zrobiono z niej historyą, bo podobne rzeczy łatwo się zwiększają i rozchodzą pomiędzy włościanami, gdy w nich tkwi coś przeciw dworowi i panu. Opowiadano więc dramatycznie scenę panicza z chłopakiem, i gniew pana, i znalezienie się Hruzdzinej, i jak zręcznie chłopię z rąk się oprawców wyśliznęło. Nie potrzebujemy dodawać, że współczucie między włościanami było dla owego biedaka sieroty... po dworkach też nieprzyjaznych szlachcicowi wyśmiewano się z jego bezsilnych gniewów, zrobiono z tego powieść wcale zabawną, którą przy każdej zręczności sąsiad sąsiadowi podawał, tak że się niemal w całem Krakowskiem rozleciała. W gospodach przy kieliszku śmieli się ze szlachcica włościanie, że mu chłopskie dziecię tak się dzielnie oparło; po dworach ze zgrozą

opisywano, czego się to już dopuszcza rozzuchwalone chłopstwo... żydkowie anegdotę przynosili razem z cielęciną do panów, po miasteczkach prawiono o niej na targu, zwyczajnie jak gdy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, a na plotki się łakomią.

Byli nawet tak ciekawi badacze, że zachodzili do chaty Hruzdów, aby się o prawdzie dowiedzieć. Stary gospodarz zbywał ich markotno, półsłowy i milczeniem, a gospodyni z płaczem rozpowiadała o swym kochanym Janku, jakie to było chłopię poczciwe, roztropne, pracowite, a że się krzywdzić i urągać sobie nie dało, to może iż czuło lepszą krew w sobie, a młodzieńcza też buta była wymówką.

Hruzda bodaj czy nie żałował pomocnika na równi z żoną, ale milczał. Jednego tedy dnia, gdy blizko domu pracując na obiad zabiegł do chaty, a właśnie zasłociło się i już na rozpogodzenie potrzeba było czekać, zaturkotało przed bramą; Hruzda wyjrzał schyliwszy się przez nizkie okienko i zobaczył wózek parokonny, który się przed chatą zatrzymał... Woźnicy widać nie było. Hruzdzina podawszy obiad właśnie wyszła do dworu za jakąś sprawą, gospodarz sam pozostał w chacie... Drzwi się otwarły i mężczyzna okutany płaszczem siwym, wtłoczył się do izby... . Twarz miał zasłoniętą kapeluszem szerokim... ale uderzyło to Hruzdę, że na nogę napadał. Gdy z głowy zdjął przykrycie, pokazał się nie młody, wysiwiały już, ale tenże sam człek nieznany, który przed dziewięciu laty Janka przywiózł i więcej się oń nie dowiadując porzucił. Hruzda jeszcze się wahał, gdy ten pozdrowił go od progu i począł:

— A cóżeście to mnie nie poznali, czy co?

Hruzda ramionami ruszył.

Albośmy to znajomi? — rzekł umyślnie — ja was nie znam.

— Jakto? — zawołał szlachcic — jamże to przecież ten sam, co wam dziecko tu dziewięć lat temu na wychowanie oddał!

— A no, a co! — rzekł Hruzda. — Dopiero po latach dziewięciu przypomnieliście sobie to, a mieliście przecież co roku płacić i ordynaryą dawać... a myśmy ani pieniędzy, ani zboża dziewięć lat nie widzieli.

Szlachcic się za trzos pochwycił, który u pasa miał zawiązany.

— Miałem nieszczęście — rzekł — zapędziłem się do krewnych na Ukrainę, i tam mnie Kozactwo pochwyciło... miałem przygody straszne... Jam temu nie winien nic... Jak skorom się uwolnił, wnet oto podążyłem do was z pieniędzmi... zapłacę za wszystko...

Hruzda popatrzał się na trzos i poskrobał się w głowę.

— A gdzież chłopiec? — spytał szlachcic rozglądając się dokoła.

Na to pytanie stary nie wiedział co odpowiadać. Stęknął.

— Wszak broń Chryste, nie umarł?

— E! żyje, żyje, nic mu się tam nie stało — odparł Hruzda — a no, od kilku dni go tu nie ma, bo panicza naszego poturbował, chcieli go ukarać, a że dumna dusza bić się nie dał i w świat poszedł. Długo to nie potrwa, tylko co nie widać jak wróci.

Nieznajomy koso spojrzał na mówiącego.

— Ot to mi prawicie — zawołał — banialuki jakieś.

— Jak Bóg Bogiem prawda.

— Toć przecie wiedzieć o nim musicie?

— Ja nie wiem, moja to może tam co i wie.

Zamilkli oba... Hruzda poglądał na trzos, ale szlachcic dowiedziawszy się, że chłopca nie było, płaszczem go zakrył i już się z wypłatą długu nie spieszył.

— A gdzież wasza gospodyni? — spytał.

— Poszła na wieś!

— Poczekam chyba aż wróci — ozwał się siadając znowu nieznajomy — bo tak z niczem odejść nie mogę... muszę wiedzieć, co się z dzieckiem stało...

Hruzda poszedł do okna obojętny przypatrywać się, czy słoty nie przepędzi wiatr; ale lało ciągle strumieniami, a Hruzdzinej jakoś widać nie było.

— A jakże, z chłopcaście byli kontenci, czy nie? — zapytał po chwili przybyły — jakże wyrósł, czy pracował? czy niewisusowaty?

— Ja wam o nim nic dobrego nie powiem — mruknął Hruzda — ja go nie lubił... choć Bogiem a prawdą pracowity był i roztropny, przecie go ludzie przezwali głupim Jankiem...

— Dla czego?

— Et! bo się zawsze dopytywał o coś, a wiedzieć chciał więcej niż drudzy... Zresztą... niczego chłopak, tylko hardy... o! bata mu

było potrzeba, a baba go moja tknąć nie dawała. Cała bieda z tego poszła...

— Więc też ona może doradziła mu i ucieczkę, albo go sama schowała? — odezwał się nieznajomy...

Hruzda nie chcąc ani żony obwiniać, ani jej uniewinniać, ruszył ramionami. Obejrzał się po chacie, wyjrzał oknem i szepnął. — Kto ją wie, może baba i wie co o nim... to ją sobie pytajcie, przedemną się ona nie przyzna.

— A jak się wam zdaje?

— Mnie się zdaje, że to jej sprawa... bo dziecko jak własne kochała...

— No i dopomogła mu do ucieczki?

— A może — mruczał Hruzda — kto ich wie.

— Dokąd? jak sądzicie?

— Albo ja wiem... nic nie wiem... Przedemną żebym ją ubił nie gowie.

Szlachcic się zadumał. — Poczekajmyż na babę — zawołał — przecie powrócić musi.

Konie stały na deszczu ponakrywane derkami; gość dobył z pod płaszcza flaszki, którą miał na sznurku, i dopominał się chleba.

— Ot, gospodarzu — rzekł — napilibyśmy się wódki...

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIEDMNASTEGO STULECIA

PRZEZ

MIECZYSŁAWA Z POZNANIA.

(Dokończenie.)

W inne dni weselej postępowała cała gromada, lecz dzisiaj, mimo że żniwo dobry obiecywało urodzaj, pomimo że za kilka dni skończy się ciężka praca, a wieniec, czyli jak w niektórych stronach mówią dożynki, wyglądał prawie za pilnymi robotnikami; nikt głośno nie objawiał swej radości. Młody dziedzic, co zwykle pogadał, żartował ze swą czeladką, dzisiaj czegoś zadumany, ręce w tył założył, nikogo się o nic nie pytał, duszno mu czegoś bo zdjął czapkę z głowy, a na czole dwie głębokie wyryły się bruzdy. Tak w posępnem milczeniu zbliżali się do wsi — psy co zwykle skacząc, wesoło skomląc wybiegały naprzeciw gospodarzom, dzisiaj ukryte wyły złowrogo... i słuchaj: z wieży kościółka ozwał się piskliwy dzwoneczek, w który tylko uderzano gdy kto konał. Kazimierz drgnął i pobladł, a wszyscy padli na kolana szepcąc:

— Boże daj mu śmierć łatwą, — Panie przyjm sługę Twego w pokoju....

Ciekawy czytelnik się spyta, kto się prze-

nosił do lepszego żywota; idźmy więc za Kazimierzem biegnącym ku chacie, w której mieszkał Wojciech Łozina, ojciec Magdosi. Tam leżał poczciwy wieśniak w ostatnich zapasach ze śmiercią, przed nim klęczała zanosząc się od łez biedna Magda. Stary ojciec patrzał na nią łzawem okiem, błogosławił na przyszły żywot, pocieszał jak mógł strapioną, chociaż widocznie słowa pociechy zamierały na ustach, bo komuż miał oddać w opiekę biedną sierotę!? — Przypomniało mu się co kiedyś słyszał:

— Biada, oj biada człowiekowi samemu, lecz stokroć samotnej kobiecie!

Bił się z tą myślą, ona mu nie pozwalała spokojnie umierać — dusza chciała ulecieć ku niebu, lecz myśl o córce trzymała ją jeszcze na ziemi. W chwilę tej okropnej walki wszedł Kazimierz do chaty. Po krótkiem przywitaniu siadł w nogach chorego, chwycił jego rękę, starał się go uspokoić, ożywić nadzieję wyzdrowienia, lecz Wojciech tak mu powiedział:

— O nie, paniczu, trzeba mi umierać i nie lękam się śmierci, bo żyłem jak powinien każdy chrześcianin, pracowałem ile sił stało. Nie jestem bez grzechu, lecz nikomu rozmyślnie krzywdy nie wyrządziłem, to też mam w Bogu nadzieję, że mi winy przebaczy. Jedno mię tylko dręczy; co się stanie z moją Magdą, któż jej dopomoże? kto sierotę zasłoni od złych ludzi?!

— Ja — zawołał Kazimierz w gorącem uniesieniu — będę jej ojcem, bratem, mężem — postaram się by była szczęśliwą. — Z nią razem byłem w niewoli — była wtedy dla mnie aniołem opiekuńczym, przyczyniła się w części, że później mogłem wolność odzyskać, dzisiaj więc słuszna, bym się za to wszystko odwdzięczył. Pobłogosławcie nam Wojciechu, bo ja ją biorę za żonę.

Nie zrozumiał zupełnie Wojciech i musiał mu Kazimierz raz jeszcze wytłumaczyć, że na prawdę chce się ożenić z Magdosią. Ona biedaczka nie wiedziała o co chodzi. Patrzyła się na ojca pełnemi łez oczyma, i myśl jej cała była przy konającym — nie czuła prawie, że jej zdjęto z palca cynową obrączkę, a włożono złoty pierścień — nie broniła by panicz całował jej spracowaną rękę. Inną razą zapłoniona uciekłaby w ostatni kątek, dzisiaj obojętnem jej to było — nie wiedziała prawie o tem.

Stary Wojciech uspokojony, widząc zapewniony los córki, szeptał ostatnie modlitwy — zakaszlnął kilka razy, przeżegnał klęczących u stóp jego Kazimierza i Magdosię, pobłogosławił ich i... zasnął na wieki.

Tak się odbyły zaręczyny Kazimierza, nagle bez przygotowań; to o czem Magdosia nie śmiała nigdy marzyć, a nawet Kazimierz wątpię by na prawdę myślał. Bez muzyki, bez swatów, tańców i gości odbyły się zaręczyny, czyli jak u nas mówią po wsiach, zmówiny — konający rodzic, Bóg i anioł śmierci co uprowadzał duszę Wojciecha, byli świadkami.

Śmierć ojca i nowe życie, jakie się teraz dla zaręczonej Magdosi otwierało, zbyt silnie na jej umysł musiały działać. — Nieprzytomna całowała pierścień od ,,dobrego panicza" i zimne zwłoki ojca, płakała tuląc się do piersi zmarłego. Zupełnie traciła zmysły, gdy skromną trumnę spuszczano do grobu, wśród uderzenia piasku rzucanego na wieko trumny, padła bezprzytomna na ziemię, a Kazimierz osłabiony, drżący nie był w stanie ją ratować. Obcy ludzie uprowadzili ją ze cmentarza, odwiedli Kazimierza od grobu przyszłego teścia. Dopiero na polu przyszli do siebie. Magdosia pobiegła spiesznie do chaty, a lamętując zamknęła drzwi, by nikogo nie wpuścić. Kazimierz struchlały stał przed chatą — chciał ją pocieszyć, naradzić się co zrobią aż do ślubu, lecz Magdosia jakby nie słyszała pukania. Ostatecznie lękając się by biedna sierota w uniesieniu żałości sobie czego nie zrobiła, kazał drzwi wyłamać, rozmówił się, zawołał kumoszkę zmarłego, by pilnowała Magdosi, a nazajutrz odwiózł ją do pobliskiego klasztoru niewieściego, aby tam pod zasłoną zacisza klasztornego przebyła rok żałoby. We wsi nie mogło samo jedno dziewczę pozostać w chacie ojcowej, bo któżby ją od złych zasłonił ludzi?!

Co się działo w serduszku Magdosi, gdy oderwana od zielonych pól i lasów, od wesołych rówieśniczek, od chaty rodzinnej, ujrzała się wśród posępnych murów klasztoru, trudno opisać. Zdało się jej, że wróciła do niewoli, do sułtanki Aliny, niezadługo jednakże przyzwyczaiła się do regularnego, spokojnego życia klasztornego. Siostry duchowne poznawszy ją bliżej, serdecznie ją pokochały i ona je wzajemnie. To też gdy skończył się czas żałoby, a Kazimierz przysłał po nią daleką swą ciotkę, z płaczem żegnała zakonnice. Zresztą pobyt ten w klastorze był dla niej z korzyścią, gdyż wie-

le nauczyła się rzeczy. — Po powrocie do domu odbył się natychmiast ślub, gdyż Kazimierz wszystko do tego już naprzód przygotował.

Obrzęd weselny odbył się z całym przepychem siół włościańskich, gdyż Kazimierz, który na ślub swój zaprosił wszystkich mieszkańców swego majątku, chciał je tak obchodzić, jak oni tego byli zwyczajni. Do kościoła jechał ubrany w czerwony kontusz, niebieski żupan, a Magdosia w narodowem ubraniu wieśniaczek — stroju nigdy nie zmieniła. Goście wszyscy jadąc do kościoła, mieścili się na żniwnych wozach, na przodzie muzyka, dalej goście, potem matka Kazimierza, która na tę uroczystość przybyła z klasztoru, w którym jak to już nadmieniłem mieszkała a wreszcie w powoziku otwartym Magdosia z dwiema druchnami, a w końcu pan młody.

W kruchcie raz jeszcze pobłogosławiła pani Trentul młodej pani, a w kościele ksiądz odczytał zwykłe modlitwy, złączył ich ręce, zamienił pierścionki i odebrał przysięgę wspólnej miłości aż do grobowej deski.

Po odbytym ślubie wszyscy tym samym wracali porządkiem, towarzystwo tylko powiększyło się przybyciem księdza. Drużbowie trzaskali z bicza, strzelali z pistoletów na wiwat, a omijając karczmy będące po drodze — (bo zwykle nasi wieśniacy jadąc z weselem, wstępują do każdej karczmy) zajechali przed dwór. W sieni przyjmowała państwo młodych najstarsza z kobiet wiejskich chlebem i solą, a skoro takowy państwo młodzi po stósownej mowie przyjęli, weszli wszyscy do pokojów.

Po sutym obiedzie rozpoczęto tańce, wśród których jeżeli kto miał apetyt, jadł i pił bez proszenia, bo wszystko stało na ustawionych w drugim pokoju stołach. Wśród tańców, podczas których pan młody musiał tańczyć z kolei z każdą z obecnych kobiet, a pani młoda z każdym z męzkich gości, wypito nie jedno zdrowie, nie jednę powiedziano oracyą. O zmierzchu zastawiono znowu wszystkie stoły do wieczerzy, która trwała z dwie godziny. Pod koniec jej zaturkotało coś przed dworem, wszyscy powstali by powitać gości, a służba uprzątnęła wszystko zawadzające tańcom. Kazimierz z żoną wybiegli przed dwór, by zaprosić gościa; lecz jakżeż się zadziwił, gdy zobaczył, że gościem tym był królewicz Jakób Sobieski. Dobry królewicz dowiedział się przez swych dworzan o ślubie Kazimierza, chciał więc swemu wybawcy z pod Wiednia zrobić niespodziankę i do ślubu poprowadzić pannę młodą. Z powodu nieprzewidzianych przeszkód atoli spóźnił się i ledwie jeszcze zdążył na obchód weselny.

Uradowany Kazimierz padł mu do nóg, lecz królewicz podniósł go co rychlej, ucałował serdecznie, a nie namyślając się, kazał, wyszedłszy do pokoju muzyce grać nowego tańca, i biorąc Magdosię pod rękę, rozpoczął tańce. Gwarno było we dworku Kazimierza, muzyka i tańce nie ustawały, a królewicz starał się, by nikt nie zważał na to, że on synem króla. To też zabawa nie ustawała, owszem rozochocała się w tak dostojnej obecności, bo każdy jakby w obecności równego bawił się serdecznie z duszy, a z wszelką przyzwoitością.

Przed północą jeszcze, gdy muzyka na chwilę ustała, odbyła się zwykła na wsiach scena targowania pani młodej. Jeden z drużbów przebrany na żyda chciał kupić Magdosię, gwałtem ją brać, aż ta udając przestrach wskoczyła na stół — w tej chwili wchodzi drugi żyd i chce ją także kupić. Rozpoczyna się sprzeczka między kupcami, i zaczynają się targi, lecz żydzi dają bardzo mało, wtedy obecni goście nie chcąc aby Magdosię kupili żydzi, ze swej strony podają cenę. Zaczynają od nóg, ten kładzie na jednę stopę złoty, inny dwa, trzy lub dziesięć, następnie na drugą, potem kupują ręce aż po ramiona, dalej przedsięwzięcia i tułów, a wreszcie głowę. Królewicz razem z innymi kupowal i naturalnie żydom się nie dostała. — Kłócą się żydzi, chcą ją gwałtem wydzierać, kłócą się między sobą, bo każdy z nich twierdzi, że ten drugi popsuł mu handel, zaczynają się na żarty uderzać, kłócąc po żydowsku, aż wreszcie sprzykrzyła się ta kłótnia starszemu drużbie, woła ku pomocy parobków i z ogólnym śmiechem wyrzucają żydów — panna młoda schodzi ze stołu, dziękuje wszystkim, oddaje te pieniądze Kazimierzowi, by je oddał na szkołę, i nowe rozpoczynają się tańce.

Lecz zaledwie kilka razy się obrócili, już kur zapiał: to północ.

— Stój skrzypku — woła drużba — panno młoda dzień twój minął, czas byś wdziała czepek.

— Idą więc kobiety śpiewając stósowne pieśni, a Magdosia ucieka za drużki, za panny, chroni się od czepka, aż schwytaną prowadzą

do innego pokoju, sadowią w środku na stołku, odpinają wieniec z mirtu i ruty i ubierają w czepek. — Znane są ogólne pieśni, jakie przy tem śpiewają, i niezawodnie też same śpiewano wtedy płaczącej Magdosi. Oczepioną, śpiewając pieśń; „Jużci nie nasza" wprowadzają do drugiego pokoju, oddają panu młodemu — i znowu tańce — i już pogaszono światła, a słońce posłało jasny swój warkocz aż w pokój gościnny, jakby ze swej strony chciało powitać państwo młodych, a taniec jeszcze nie ustaje. Wreszcie znużeni poczynają się żegnać, prowadzą nowożeńców do pokoju; tam jeszcze słów kilka przemówił królewicz, i z głośnemi życzeniami dla państwa młodych rozchodzą się wszyscy do domów. Sam królewicz tylko pozostał jeszcze u Kazimierza przez dwa dni.

Cóż wam jeszcze powiedzieć? — Kazimierz i Magdosia żyli szczęśliwie, dobrze im się wiodło, dzieci chowały się na pożytek ojczyźnie, radość rodzicom i światu. W całej wiosce Kazimierza panowało szczęście i jeżeli chcecie doznać szczęścia i wy, miłujcie się między sobą, wszyscy Polacy bez różnicy, bo:

Szczęście ten tylko posiędzie
Kto w zgodzie z bratem żyć będzie.

Wyrzeknijcie się gorzałki, nie słuchajcie podszeptów złych ludzi, a Bóg wam pobłogosławi. O pamiętajcie, że:

Znajdziem zawsze dosyć chleba,
Lecz wódki wyrzec się trzeba.

Z innych osób które zachodziły w tej powieści, pani Trentul matka Kazimierza wróciła znowu do klasztoru, w którym po kilkunastu latach pobożnego życia rozstała się z tym światem. Na dwa lata wyprzedziła ją pani Kralska, mąż jej przeżył blizko 100 lat. Opiekun Kazimierza książe Michał Lubomirski, żył jeszcze długo, dowiadywał się często o Kazimierza, nieraz dopomagał mu swoją radą.

Jan Sobieski, pogromca Turków, ociężał w końcu swego życia niezmiernie, i nie dziw, bo w domu własnym miał ciężkie zmartwienie, z przyczyny swej żony, rodem z Francyi. Podmawiała ona ustawicznie króla, aby zawojował Multany i Wołoszczyznę i z tych księstw zrobił państwo dla swoich dzieci. Król polski nie chciał na obce się łaszczyć, bo Polacy nigdy się nie wdzierali do obcych państw, ale posłuszny chciwej żonie, zebrał po kilka razy wojsko i ruszył na Wołoszczyznę. Lecz Pan Bóg nie pobłogosławił chciwości jego żony — ile razy król ruszył na tę wojnę, tyle razy musiał z niczem wracać. Nawet na sejmie wymawiali Polacy królowi tę wojnę.

W następny sposób opisują w książce „Dzieje narodu polskiego" ostatnie lata Jana III; „Nie byli też i Polacy kontenci z króla Jana bo choć go szanowali jako wielkiego wojownika, jednak przyganiali mu, że nie był ani dobrym, gospodarzem, ani sprawiedliwym panem. Wszystkiemu była winna królowa, która jak szatan zawsze kusiła go do złego. Ona to przedawała różnym panom urzędy za pieniądze, ona dawała się Austryakom przekupywać, ona nakoniec ze szkodą własnych dzieci, zaklinała Polaków, aby nie obrali następcą po ojcu, własnego jej syna królewicza Jakóba; ona po śmierci króla kłócąc się z królewiczem Jakóbem o pozostałe po królu skarby, do tego szkaradną chciwość posunęła stopnia, iż królowi leżącemu na marach niecną ręką zdzierała z głowy koronę. Ale na co wam o tych niecnych postępkach gadać, niech ją tam Pan Bóg sądzi, tyle tylko pamiętajcie sobie: że mężczyzna powinien mieć swój własny rozum, i rządzić się poczciwością, nie zaś ulegać złej kobiecie, choćby ta była rodzoną siostrą, lub żoną najukochańszą. Przestroga ta przyda się każdemu z was, a nie dopiero królowi, który odpowiada za miliony ludzi.

Choć król na starość opuścił ręce, i tylko pieniądze zbierał dla swoich dzieci, a o kraj nie dbał, przecież winien mu naród wdzięczność, że w wielu miejscach pozakładał piękne ogrody, sadził drzewa owocowe swoją ręką, a jeżeli gdzie zobaczycie ulicę z kasztanów lub włoskich orzechów, bądźcie pewni, że ją Jan III zasadził. Pod Warszawą wystawił bardzo wspaniały pałac, nazwał go Wilanów; są tam stare lipy i topole, pod któremi lubił się przechadzać, szukając na starość spokojności, nie mając jej w domu; bo matka ustawicznie swarzyła się z dziećmi, na co ojcowskie jego serce pewnie nieraz zabolało."

Koniec więc życia Sobieskiego nie był ciekawym — ostatnie lata przepędził we Wilanowie pod Warszawą. Tam też roku 1696 w ten sam dzień, w którym był obrany na króla, tylko że w 22 lat później, życia dokonał. Ciało jego sprowadzono do Krakowa, gdzie w grobach królewskich spoczywa obok swego poprzednika Michała Wiśniowieckiego i dwóch sławnych wo-

dzów naszych, obok Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego.

O Alinie, córce sułtana tureckiego, owej dobrej pani naszej Magdosi nie mógłem się nic pewnego dowiedzieć, lecz niezawodnie Bóg ją wynagrodził za wszystko dobre, co zrobiła dla Magdosi. Pan Bóg jako sprawiedliwy sędzia, za miłość sowicie wynagradza; i nam Bóg pobłogosławi, odwróci złe od nas, bylebyśmy się wszyscy szczerze po bratersku ukochali.

(Koniec)

GAWĘDZIARZ.

TATARZY.

(Ciąg dalszy.)

I kiedy tak medytuje stary hetman, jawi się do niego poseł od Skinder-Baszy, chcąc traktować o pokój, wstąpiła błoga nadzieja w serce starca, na twarzy jednak niepokazuje radości, ale pełen powagi i dumy, przyjmuje posła i układa z nim warunki pokoju.

Już na wszystkie warunki podane przez bisurmana, zgodził się Żółkiewski z bólem serca, chcąc zachować swojej ziemi garstkę walecznych, kiedy wróg nie syty domaga się spalenia Berszady, a była to twierdza jedna z najmocniejszych w tych stronach, załoga Polska zawsze w niej przebywała. Miasto to było własnością walecznego księcia Jerzego Zbarawskiego — niechciał waleczny hetman niszczyć własności prywatnej, ani jawnie tak dalece ustępować nieprzyjaciołom. Wzywa więc do siebie księcia i ze łzami w oczach całą rzecz mu opowiada.

Książę Jerzy Zbarawski, był to w samym kwiecie wieku mężczyzna, a znany w całym kraju z nieustraszonego męztwa, którego tylekrotnie dał dowody — na wiadomość tę, zasępiła się porąbana twarz księcia, wysłuchał, jednakże do końca starego hetmana, po przyjacielsku uścisnął mu rękę i rzekł:

— Bądź spokojny mości hetmanie, niema ofiary którejbym nie zrobił dla tej ziemi, a jestem pewny, że i moi poddani tak samo myślą, zaczem ci jednak stanowczo odpowiem, muszę się naradzić pierwej z niemi.

Natychmiast każe siodłać sobie konia, i niezważając na noc zapadającą, w towarzystwie jednego tylko Piaseckiego, swojego dworzanina, pędzi przez step pusty do nieszczęśliwej Berszady, a nad nim wije się czarny orzeł, przeraźliwym głosem domagając się łupu.

Po kamiennych wałach zamku, liczne przechadzają się straże, podając sobie okrzyk czuwania od czasu do czasu. Pomiędzy dwie okrągłe kamienne wieże, wcisnęła się wązka brama, którą strzeże liczny oddział zbrojnych, z barwami książąt Zbarawskich.

Ujrzano z daleka dwóch jeźdźców, zapalono lonty przy haubicach i czekano chwili sposobnej by dać ognia, straż przy bramie wystąpiła z bronią. Ale w tem odzywa się trąbka znajoma księcia — natychmiast spada most zwodzony, odzywają się bębny, a dzielny rycerz wjeżdża pomiędzy swoich ukochanych poddanych,

wśród okrzyków wesela, witających walecznego, szlachetnego pana.

Ale twarz księcia jest smutna, nie odpowiada nawet na okrzyki w około się rozlegające, nie jedzie nawet na zamek kędy już nań zastawiona czeka uczta, ale wprost udaje się na rynek w środku miasta.

Po trzykroć odzywa się przy nim trąba zwołująca lud.

Schodzą się rozbudzeni ze snu obywatele, każdy przeczuwa jakąś ważną nowinę i każdego serce drży z bojaźni, bo w tych opłakiwanych czasach, rzadko można było co innego usłyszeć, jak tylko o klęsce, albo o innem jakiem nieszczęściu.

Starcy przywlekli się wspierając na kijach, matki z dziećmi na rękach, drugie czepiając im się u spódnic, powiększały zgiełk jaki się wszczął wśród nocy.

Książę okryty kurzem, stał na koniu wśród rynku i pochmurno spoglądał na gromadzące się tłumy, a parę razy nawet obtarł ukradkiem łzę, co mu się gwałtem wydarła z oczów.

A kiedy już prawie wszystek lud się zgromadził, a rynek został zapchany zupełnie, trębacz znowu się odezwał — żeby się uciszono, a książę w te przemówił słowa:

— Mili moi bracia, obywatele i poddani, jestem pewny, że nie ma pośród was nikogo, któryby z chęcią nie poniósł każdej ofiary dla swojej ukochanej ziemi, dziś właśnie nadeszła chwila, gdzie czynem będziemy mogli pokazać naszą godność obywatelską i miłość dla dobra ogółu — srogi Turek otacza prawie ze wsząd nieliczne wojska nasze, te jednak nie myślą mu ustąpić, a jakkolwiek dużo mogą położyć nieprzyjaciół, niepodobieństwo jednak by ich przemogli wszystkich, ćmy więc Tatarów rozleją się na wszystkie strony, poniszczą nasze miasta, wsie i ogrody, uprowadzą tysiące ludu w niewolę, wyleją się rzeki krwi i łez, a Ojczyzna nasza przywdzieje na siebie szatę żałoby na bardzo długo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OJCIEC KAPUCYN

— CZYLI —

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

Długo rozmyślał, czyby to była rzeczywistość, czy też marzenia ułuda. Wreszcie poznał, że to tylko była próba ostateczna, na jaką go jeszcze Bóg wystawiał. Skoro dzień zaświtał, powrócił i spokój w duszę jego. Przygotowawszy się należycie do uroczystego przyjęcia Wiary św., udał się w towarzystwie Ojca Gwardyana, Brata Archanioła i księcia Urbino wraz z całym tegoż dworem do katedralnego kościoła. Jakże słodko było patrzeć na długi szereg wolno postępujących katolików! Wśród uroczystego dźwięku

wszystkich w całem mieście dzwonów zbiegały się tłumy ciekawego ludu ku tak świętemu orszakowi. Wkrótce napełnił się wielki kościół nadzwyczajnym chrześcian natłokiem! Z odblaskiem wewnętrznej na twarzy radości ukląkł Baron Torey przed wielkim ołtarzem i złożył uroczyste wyznanie Wiary katolickiej. Następnie uderzył ręką o szablę czyli szpadę przy boku oficerską i przysiągł, że za Wiarę świętą w razie potrzeby i życie poświęcić gotów!

Wszedłszy potem czcigodny Gwardyan na kazalnicę, zaczął mówić słowy żarliwemi. Wyraził on swą radość z powodu szczęśliwego nawrócenia się Edwarda, życzył mu wszelkiego od Boga błogosławieństwa i napomniał go po ojcowsku aby czy w rozkoszach czy dolegliwościach, czy wśród wiernych, czy niewiernych, zawsze zachowywał religią świętą. Wreszcie zabrzmiał z tysiącznych łon śpiew uroczysty, śpiew chwały i dziękczynienia.

Po nabożeństwie udał się Edward z księciem Urbino do jegoż pałacu. Tu kładąc na Barona złoty łańcuch przepysznej roboty z krzyżem klejnotami wysadzanym i z Matką Bozką na drugiej stronie, rzekł książe głosem poważnym:

— Przyjmij Pan ten znak jako zadatek mojej najszczerszej przyjaźni!

— Jaśnie Oświecony książe! zawołał Edward, nie zasłużyłem sobie na tak wysoką łaskę! Pierwszy raz widzę się niezdolnym do odpowiedniego podziękowania za tak niespodziewany zaszczyt. Lecz serce mogę Waszej książęcej Miłości oddać, aby tak dostojnej osobie wiecznie hołdowało.

-- O przychylność tylko proszę, rzekł na to książe, oraz o wspomnienie księcia Urbino podczas gorących swoich do Wszechdawcy błagań.

Tu uścisnął młodego Szkota czule, serdecznie. Pomówiwszy z sobą o innych jeszcze rzeczach, pożegnali się. Powróciwszy Edward do klasztoru, zaczął z bratem rozmawiać o wzajemnem wrażeniu, jakie na nich obrząd wyznania nowo przyjętej Wiary był zrobił. Nie przepomnieli także matki swojej. Obydwaj napominali się z całej duszy pracować około jej zbawienia. Żadna przeszkoda nie miała ich wstrzymać od tak chwalebnego celu. Zgodzili się na to, że Baron Torey miał jej tylko donieść o uporczywem obstawaniu brata swego przy Wierze katolickiej, i że do zgonu w zakonie zostanie. O nawróceniu zaś swojem ani słowa nie miał nadmienić. Ale o pomyślnej okoliczności, dozwalającej Archaniołowi powrócić do Szkocyi, dla pracowania około zbawienia dusz obłąkanych, przyrzekł mu Edward donieść i podać oraz środki, jakby najśpieszniej mógł stanąć w swojej dziedzinie. Wtedy to dopiero mieli usunąć zasłonę całej tejemnicy przed oczyma matki swojej.

Umówiwszy się o to wszystko dokładnie, zaczął Baron Torey chwilę swego odjazdu przyśpieszać. Ach, jakże boleśnem było dla obydwóch braci pożegnanie! Trudno było poznać, który z nich przez to więcej ucierpiał. Tak to ściśle połączyła potęga religii serca braci, lubo się tak późno z sobą poznali! Lecz czegóż nie trzeba znieść dla woli, i miłości Bozkiej?—Najsrożej zaś dolegało sercu Archanioła, że mu nie było wolno dać listu do matki. Tak bowiem chcieli brata przełożeni, mając do tego słuszną przyczynę; tak musiał i on chcieć, który uległość i posłuszeństwo poprzysiągł. —

ROZDZIAŁ OSMY.

Tymczasem spodziewała się Baronowa Torej powrotu obydwóch swych synów. Z niecierpliwością liczyła dni i godziny, kiedy ich radośnie powita. Wreszcie odebrała list z Londynu. Edward jej donosił o szczęśliwem tam swojem przybyciu. Wkrótce miała go ujrzeć i usłyszeć z ust jego o skutkach tak dalekiej podróży. Widząc Baronowa, że o hrabim Lesley ani słowa nie wspomniał, przelękła się niezmiernie, przeczuwała bowiem niepomyślną nowinę. Po chwili zaś zaczęła się pocieszać, mówiąc sama do siebie:

— Zapewno Grzegórz nie dozwolił, aby Edward o nim cokolwiek bądź wspomniał. Chce on mię bez wiątpienia przez niespodziewane przybycie swoje tem bardziej ucieszyć. Nauczyli się zapewnie z doświadczenia, że radość niespodziewana najprzyjemniejsza. Jestem przekonana, że to przemilczenie, które mię z początku

tak srodze zatrwożyło, jest tylko wypływem czułości syna, powracającego z miejsca hańby i sromoty. Będę więc spokojnie oczekiwała chwili, kiedy go ujrzę przy sercu mojem macierzyńskiem!

Nie widząc pomyślnej sposobności do odjazdu okrętem, musiał Edward jeszcze kilka dni w Londynie zabawić. Skoro zaś wiatr z pożądanej zaczął wiać strony, odbito od brzegu, a Baron Torey szczęśliwie stanął w Szkocyi. Natychmiast dążył ku zamkowi w Aberdyn. Dowiedziawszy się matka o jego powrocie, pytała się ciekawie i z przelęknieniem, czy też obydwaj synowie przyjechali.

— Nie odpowiedziano jej na to, a toż „nie" uderzyło ją jak piorun i padła w omdleniu na ziemię. Po chwili zaś porwała się z wysileniem i pospieszyła ku Edwardowi, gdy właśnie po schodach nachodził.

— Synu! wykrzyknęła przeraźliwym głosem. Nim cię uściskam, powiedz mi, czyż tylko sam przybyłeś?

Edward przygotowawszy się na takie zapytania już w drodze, odpowiedział na to spokojnie, mówiąc:

— Lubo sam tylko do najdroższej matki mojej powracam, jednakowoż przywożę dla niej pocieszenie.

Zbladła Baronowa jeszcze bardziej, a uchwyciwszy go silnie za rękę, pociągnęła go za sobą do pokoju.

— Powiadaj, powiadaj! zawołała. Cóż znaczą te Twoje słowa? O, nie przedłużaj cierpień swojej matki!

Tu zaczął Edward opowiadać o całej swej podróży, o przybyciu do Urbino, o przyjęciu przez gościnnych zakonników, dalej o uprzejmości tamtejszego księcia i o zajściu, którym się z jego łaski chlubić może, w końcu opisywał piękności Włoch i szczegóły miast znaczniejszych.

— Dosyć tego, dosyć! przerwała mu nagle Baronowa, pełna niecierpliwości. Na cóż mi się to wszystko przyda? Chcę tylko wiedzieć, czy Grzegórz, mój syn kochany, do Szkocyi powraca. O, powiadaj! To tylko chcę wiedzieć!

— Bez wątpienia, najukochańsza matko! odrzekł Edward; bez wątpienia powróci Grzegórz i zaspokoi Cię zupełnie. Chce on tu jak najrychlej stanąć przed drogą swoją matką!

— A czemuż razem z tobą nie przybył? zapytała znowu Baronowa. Cóż go tam jeczcze wstrzymało? Lecz upodlające go suknie, tę odzież hańby i sromoty, czyliż już przecie porzucił? Jakże? Wystąpił że już ze stanu wzgardzonego, ze stanu, który w takim stosunku do ego hrabiostwa, jak piekło do nieba?

— Jeszcze nie, Szanowna Matko! odpowiedział Edward. Lecz mogę Cię zapewnić, że ciągle o tem myśli, jakby najrychlej tu mógł przybyć z pociechą. Znalazłem ja go w zgromadzeniu rozsądnych i cnotliwych mężów, którzy mię swem szczęściem do podziwiena ich przymusili. Brat mój Grzegórz miałby już na ziemi niebo, gdyby mu serca gniew matki smutkiem nie napełniał!

— Chcesz mię oszukać! krzyknęła z gniewem Baronowa. Czyż mniemasz, że we mnie wmówić zdołasz, iż ów niewdzięcznik mógł uczuć litość w brudnem swem łonie, usłyszawszy o mojem cierpieniu, o łzach moich, które od tylu już lat dla niego wylewam? Ha, nawet słówka nie odpisał mi na listy moje! Czyż i tegom nie godna? A więc — niechże się tarza w błocie swojego upodlenia; niechże więc depce najświętsze na ziemi dla człowieka obowiązki; niechże więc zapadnie mocy piekielnej! — Ja z swojej strony uzbroję się w męstwo i będę miała tyle siły, aby nim równie gardzić, jak on o mnie zapomniał, a Bóg się sam na nim zemści za niewdzięczność tak niesłychaną!

— Matko! zawołał Edward, przerażony tą gwałtownością. Nie potępiaj tak serca swego syna! O, jakże inaczej, chciejże lepiej sądzić o zasadach owych mężów!

— Milcz, Edwardzie! przerwała mu dalszy tok mowy. Cóż to ma znaczyć? Chcesz że jego upór, jego nieposłuszeństwo usprawiedliwiać? Możnaż przemówić aby słówko na pochwałę jego uwodzicielów? Jeźli, jak miałeś powiedzieć, szczęście w ich ciemnych murach panuje, jakieś okrucieństwo musi tam berło swe wznosić, skoro pomimo niewygód i różnych udręczeń nikt się nie uskarża! A nie szkaradaż to, że zgrzybiałe i z uczuć wyzute mnichy, dzieci znakomitych rodziców uwodzą i do zrzucenia z siebie obowiązków synowskich nakłaniają, do przyjęcia natomiast ślepego niewolą! Takie to więc owoce onej wychwalanej religii papieżników, którzy, pod pozorem napełnienia duszy prawdziwem pokojem, od rugowania u-

czuć i powinności niecne swe dzieło zaczynają!

To rzekłszy, wybiegła z pokoju. Bardzo ubolewał Edward, że niemógł uspokoić matki. Aby jej zaś przeciwnemi zasadami tem bardziej nie oburzać, poszedł do swego pokoju. Wkrótce przyniesiono wieczerzę, — którą, gdy się nasycił, udał się na spoczynek i będąc trudami podróży znużony, zasnął bardzo mile.

Baronowa zaś zasnąć nie mogła. Zawiedziona w jedynej swojej nadziei, przeklinała upartość syna Grzegorza i przepędziła noc całą w straszliwem uczuć wzburzeniu. Szczególnie uskarżała się, że na jej list nie odpowiedział. A powodowana podejrzeniem, że może do kogo innego pisał, postanowiła przejrzeć rzeczy i papiery Edwarda i tak dojść wszelkiej w tym względzie pewności. Wzięła więc nocną lampę, słabem światełkiem przyświecającą, i poszła cichutko i wolnym krokiem a ze zatrzymywanym dechem do sypialni młodego Barona. Obejrzawszy się wkoło po pokoju, ujrzała najprzód ów złoty łańcuch, którym Edwarda wspaniałomyślny książę Urbino był ozdobił. W roztargnieniu położył go młody Baron na stoliku, ze słoniowej kości zrobionym a stojącym zaraz obok łóżka, i zapomiał schować klejnotu tak drogiego. Popadł więc najprzód w oko Baronowej, tak, że aż się do stolika zbliżyła. Tu i krzyż przy złotym łańcuchu spostrzegła. W najwyższem zadziwieniu stała całą chwilę, jak wryta. Straszliwy dreszcz przebiegł jej kości i nie mogła żadną miarą przytłumić w sobie gniewu. Podobna do jędzy piekielnej, opisywanej nam przez starożytnych rymotwórców; skoczyła bliżej do łóżka, rozgarnęła z prawdziwą wściekłością firanki onoż zasłaniające i zawołała głosem niejako rykliwem, że aż się Edward przeląkł i porwał na równe nogi.

— Ha, zdrajco! krzyknęła. Takie to są więc owoce Twojej podróży? I po taką to dla mnie pociechę pojechałeś za morze? Nie wzdrygałżeś się naśladować występku brata Twojego? On okrył hańbą dom hrabiów Lesley, a Tyś znieważył szlachetną krew Baronów Torey! O biada mnie biednej niewiaście! Zamiast dzieci porodziłam żmije, aby me ciało szarpały! O przeklęty dzień, w którym was powiłam! Oby był nigdy nie zaświtał!

Dalej mówić nie mogła. Ze złości zdrętwiał jej język. Złość zadusiła jej słowa.

Widząc Edward swą matkę w takiem uniesieniu, zbliżył się do niej i zaczął ją błagać, wołając:

— Matko, droga Matko, uspokój że się przecie! Przez miłość Bozką uspokój się proszę!

— Co? — krzyknęła znowu Baronowa. — I śmiesz że jeszcze Boga wspominać? Śmiesz że wspominać Boga, przeciw któremu tak szkaradnie zgrzeszyłeś? Bluźnierco! Odszczepieńcze! Jakże się jeszcze możesz temi słowy odzywać? Jakże śmiesz podnieść oczy ku mnie, którą tak niegodziwie, tak zdradziecko zawiódłeś? Jakże tu możesz stać przede mną, któryś się dał uwieść głupstwem mnicha najpodlejszego? O czemuż się tu ziemia nie rozpadnie i nie pochłonie Cię w ciemne swoje wnętrzności, Ciebie, nędzniku, który mię zabijasz? — Ach, ja nieszczęśliwa matka! Czemuż go musiałam sama wysłać w sidła papieżnictwa. Jego umysł był jeszcze tak słaby, tak przystępny dla każdego wrażenia! Jakże go mogłam oddać w ręce bezecnych, podstępnych papistów! Ach, jednego chciałam ocalić syna, a teraz aż obydwóch utracam!

Ostatnie te słowa mówiła z mniejszą namiętnością, a to w Edwardzie obudziło nadzieję, że jej zapalczywość ułagodzić zdoła.

— Matko, droga moja Matko! zawołał, do nóg jej padając. Nie odrzućże mnie od siebie; Kocham ja Cię serdecznie i proszę przeto, zaniechaj uprzedzeń, które od tak dawna życie Twe zatruwają! Krew bym sobie z żył wytoczył, gdybym tylko mem życiem spokój Twej duszy mógł okupić, a zadręczyćbym chciał ciało swoje, gdyby ciemność ustąpiła, która Twój umysł ogarnia!

— Obłudniku! krzyknęła Baronowa, —czyż mniemasz, że mnie uwiedziesz, jak to Ciebie zaślepiono? Czyż i mnie chcesz wciągnąć w przepaść, w której sam się znajdujesz? O próżne Twoje zamysły! Porzuć raczej występne swoje zamiary i oprócz tego dosyć już jesteś występnym! Lecz posłuchaj mnie, Edwardzie! Otóż Ci przebaczam, uniżam się nawet, prosząc Ciebie: Powróć do dawnych synowskich swoich powinności! Na nieograniczoną miłość moją ku Tobie, którą się zawsze mógłeś chlubić, — na pamięć ojca Twojego, któregoś tak długo, tak gorzko opłakiwał, na wszystko, co Ci jest najświętszem, zaklinam Cię i proszę: O wróć samego siebie, ach, wróć siebie opuszczo-

nej swej matce, niechaj Cię i nadal mogę nazywać słodkiem imieniem: „Synu". Powiedz aby słowo, a wina Ci przebaczona! Jeszczeć czas do powrotu! Jeszczeć się nie mogłeś obłąkać zupełnie! Z macierzyńskiem pobłażanem daruję Ci wykroczenie, do którego Cię podstępy mnichów uwiodły! Powiedz otwarcie: czyż pozwolisz oddalić te błyskotkę z naszych oczu na zawsze? Chcesz że wrocić do wiary Twego kraju, do Wiary matki Twojej?

— Tego uczynić nie mogę! — odpowiedział Edward. — Sumienie moje nigdyby na to nie zezwoliło. Wyświadcz mi więc łaskę, zaklinam Cię, Matko, oddaj mi ten łańcuch, który niejest żadnem cackiem światowym, lecz jest ozdobą odrodzonej duszy a zatem w żaden sposób znieważonym być nie może!

Słowa te rozżarzyły na nowo gniew Baronowej.

— Otóż więc! — rzekła, rzuciwszy klejnot o ziemię. — Zupełnie to słusznie, aby ten, który się aż do tej posunął podłości, że sumienie swoje zaprzedał, — oraz i znak swego występku dźwigał na sobie! Podnieś tę błyskotkę, lecz skoro to uczynisz, musisz mi opuścić dom mój, abym nigdy więcej godła takiego przeniewierstwa nie ujrzała! Jeźlić Ci się podobało, podzielać z bratem swoim hańbę tak szkaradną, bądźże też równie, jak i on, z domu mego sromotnie wygnany! Nawet po mej śmierci nie będziesz miał spokoju, bo nigdy nie przestanę ścigać synów wyrodków. Podobna do jędzy piekielnej, będę wam w serce wtłaczała ostre kolce udręczającego sumienia, a obydwóch ukarze niechybnie sam Pan Bóg! Obydwaj wyzioniecie wreszcie czarną swoję duszę wśród męczarni najokrutniejszej rozpaczy!

Chciał na to odpowiedzieć Edward, lecz dwórki Baronowej, przybiegłszy na głos tak strasznych wyrzutów i pogróżek i widząc swą panią w stanie nadzwyczajnego uniesienia, wzięły ją pod ręce i zaprowadziły omdlałą do jej pokoju na łoże.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

W czasie, gdy na zamku Aberdyn takie zaszły nieprzyjemności, panował w ubogiej celi Ojca Archanioła spokój jak najsłodszy. Pomyślne nawrócenie się brata jego napełniło duszę jego odwagą do trudniejszego jeszcze przedsięwzięcia. Rozumiał, że mu się już żadna przeszkoda oprzeć niezdoła. Lecz chcąc swój zamiar wykonać, musiał poprzednio swym przełożonym opowiedzieć, co czynić zamyśla.

Wierny sługa Boży Archoniół przyszedł przez bogomyślne rozwagi do tego przekonania, że jest różnica między ziemskiemi sprawami a sprawami Nieba. Owe wolno człowiekowi prowadzić w miarę jego srodków, sprawy zaś niebieskie nie potrzebują częstokroć nic więcej, jak tylko wyznaczenia sobie w pokorze celu i zdania się ze wszystkiem na wolę Bozką. — Stosując się Archaniół do woli swych przełożonych, przestawał ochoczo na radach starszych zakonników. Jedyną jego pociechą było modlić się gorąco o nawrócenie Matki swojej najdroższej. —

Na ów czas panowała we Francyi Marya Medycy, Matka Ludwika XIII. Życzyła ona sobie kaznodziei ze zakonu kapucynów. W tej myśli pisała więc do swego posła, przy dworze Papiezkiem bawiącego. Ten się zaś udał w tej mierze do Najprzewielebniejszego Ojca Jenerała. Właśnie w tej porze przybył także do Rzymu Archaniół w sprawie swojego zakonu. Naradziwszy się w względem zaspokojenia żądania posła, zgodzono się na przedstawienie Szkota onemuż. Pasiadał bowiem Archaniół wszystkie przymioty na tak ważne stanowisko. Władał on dobrze językiem francuzkim, był wymownym, żarliwym kaznodzieją i każdy mógł go śmiało nazywać wzorem bogobojnego kapucyna. Ztąd to zapytano Archanioła, czyby nie chciał jechać do Paryża. On zaś na to odpowiedział, że tylko wola przełożonych wolą jest zakonnika. Przyjął więc poseł tak dzielnego męża z wielką radością, na kaznodzieję dla swej królowej, którą jak najspieszniej o tak szczęśliwym wyborze i o zacnych przymiotach Archanioła uwiadomił. Potwierdziwszy taki wybór monarchini, kazała podróż przykładnego kapucyna jak najspieszniej i jak najstaranniej ułatwić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W r. 1794 powstał z powodu opodatkowania wódki w zachodniej Pennsylvanii bunt. Proklamacye prezydenta nie zdolały go uśmierzyć. Buntownicy znieważali urzędników, palili (zwłaszcza w okolicy Pittsburga) domostwa i dopuszczali się innych gwałtów. Było ich pod bronią od 6000—7000. Washington widział się zmuszonym wysłać silny oddział milicyi i — bunt został uśmierzony.

Podczas tych rozruchów wewnętrznych powstała nowa chmura na horyzoncie politycznym. Anglia i Stany Zjednoczone poczęły wzajemnie oskarzać się o niewypełnienie warunków pokoju. Anglia zwłaszcza żaliła się, że Stany Zjedn. nie płacą długów przed rewolucyą w Anglii zaciągniętych. Aby zapobiedz nieprzyjemnościom a może i wojnie z Anglią, wysłano do rządu angielskiego posła nadzwyczajnego.

Tym posłem był John Jay. Przyjęto go uprzejmie. Zawarł traktat, który nie zdawał się być bardzo zadowolającym; bo obiecał, że Stany Zjedn. zapłacą długi zaciągnięte, lecz nie zażądał wynagrodzenia dla tych, którym Anglicy podczas wojny zabrali niewolników. Pomimo oporu wielu przyjął senat traktat przez Jay'a zawarty. W październiku następującym zawarto traktat, w którym zostały bliżej określone granice pomiędzy hiszpańskiemi prowincyami Louisiana i Floridę i Stanami Zjednoczonymi, który zabezpieczył zarazem Stan. Zjed. żeglugę wolną na rzece Mississippi i użytek portu New Orleans na lat 10.

Handel Stan. Zjed. rozszerzał się tymczazem coraz dalej, nawet aż do morza Śródziemnego; rozbójnicy morscy z Algeryi zabierali tymczasem okręta amerykańskie i żądali aby majtków i inne osoby wykupiono. Wszystkie protesty nie pomogły i dla tego też uchwalił kongres wybudować flotę, która się miała składać z 6 okrętów. Budowania ich zaprzestano atoli, gdyż z dey'em Algeryi (gubernatorem) zawarto traktat. Dopiero w r. 1797 wykończono trzy fregaty. Czas administracyi Washingtona przybliżał się atoli ku końcowi. Był to peryod wielkiej ważności i nieustannej pracy; wszystkie spory z narodami obcymi, wyjąwszy Francyi, zostały załatwione; kredyt był ustalony, i w kraju panował dobrobyt. Poczęły się tworzyć na zachodzie nowe stany i Tennessee zostało włączone do szeregu Stanów Zjednoczonych; było już więc szesnaście stanów.

W ostatnich miesiącach administracyi Washingtona rozpoczęła się pierwsra większa walka dwóch stronnictw: federalistów i republikanów. Washington był jedynym człowiekiem, który mógł jeszcze złączyć poważnione stronnictwa, lecz zamyślał się cofnąć do życia prywatnego. W dniu 19 września 1796 wydał proklamacyę, iż z końcem swego terminu ustępuje z życia publicznego; lud przekonał się, iż będzie musiał wybrać innego naczelnika narodu. Federaliści postawili na kandydata John'a Adams, republikanie Tomasza Jefferson. Wynik wyborów był właśnie zwycięztwem dla jednej i drugiej partyi, bo Adams został wybrany prezydentem, a Jefferson wiceprezydentem. W dniu 4 marca 1797 złożył Washington swój urząd a Adams został inaugurowany drugim prezydentem Stanów Zjednoczonych. Washington nie wrócił już do życia publicznego.

ROZDZIAŁ II.

Administracya Adams'a (1797—1801.)

W dniu 4 marca 1797 złożył John Adams, wtenczas 62 lata stary, przysięgę przed sędzią najwyższym Ellworth. Gabinetu Washingtona nie zmienił. Rozpoczął zarząd swój w bardzo krytycznem położeniu. Duch partyzancki rozszerzał się coraz bardziej w kraju, nieprzyjaźń między Francyą i Stanami Zjedn. rosła coraz bardziej, aż nareszcie Pinckney, poseł Stan. Zjedn. w Paryżu, został uwiadomiony, iż ma Francyę opuścić.

W dniu 13 listopada 1797 rozpoczął sesyę swą piąty kongres, który widząc że rokowania z Francyą nie doprowadzają do celu, począł się przygotowywać do wojny; poczęto urządzać flotę na większą skalę. Pomimo iż wojna nie była deklarowana, poczęły się kroki nieprzyjacielskie na morzu. „Directorium" (tak się nazywał rząd francuzki wtenczas) widząc, że Stany Zjednoczone stanowczo zabierają się do wojny, poczęło rokowania o załatwienie sporu. Adams zamianował trzech posłów do Francyi; gdy ci przybyli w listopadzie 1799 nie istniał już dawniejszy rząd francuzki; konsulem był Napoleon Bonaparte, który ich przyjął uprzejmie i zawarł z nimi traktat.

W r. 1798 uchwalono dwa prawa, które się ludowi nie podobały. Pierwsze wykierowane przeciw cudzoziemcom, upoważniało władze do wydalenia takowych. Uzasadniono to prawo tem, iż w kraju znajduje się 30,000 Francuzów, wiernych swej ojczyźnie i 50,000 byłych obywateli angielskich, którzy starali się szkodzić Stanom Zjednoczonym. Drugie prawo wykierowane przeciw buntownikom upoważniało władze do zapobieżania wszystkim demonstracyom, których celem było osłabienie powagi władzy wykonawczej. Większa część ludu była przeciwną tym prawom, gdyż mogły łatwo wywołać nadużycia, a władze prawodawcze stanów Kentucky i Virginia oświadczyły wręcz, iż prawa te sprzeciwiają się konstytucyi. Dla tego też zniesiono je kilka lat potem.

Nad końcem stulecia poniósł lud niezmierną stratę. Washington licząc lat 68 umarł w dniu 14 grudnia 1799 r. w Mount Vernon. Wielką była żałość ludu. Kongres dowiedziawszy się o zgonie pierwszego prezydenta odroczył się natychmiast a cała ludność nosiła przez dni trzydzieści oznaki żałoby.

Nawet i w Europie, a zwłaszcza w Francyi nosiło wojsko przez dłuższy czas oznaki żałoby.

Od czasu załatwienia sporu z Francyą, zdarzyło się mało co ważnego podczas administracyi Adamsa, wyjąwszy iż przeniesiono siedzibę rządu do okręgu Columbia (1800). Utworzono także nowe terytoryum Mississippi. Nastała znów walka polityczna między federalistami i republikanami. Pierwsi postawili za kandydatów Adamsa i Pinckney'a; drudzy Tomasza Jefferson i Aarona Burr. Między federalistami nie było jedności i dla tego zwyciężyli republikanie łatwo. Izba reprezentantów zaś musiała rozstrzygnąć wybór prezydenta, ponieważ Jefferson i Burr dostali porówną liczbę głosów. Po 35 ballotowaniach został wybrany Jefferson prezydentem, Burr wiceprezydentem.

W ostatnim roku administracyi Adamsa przedsięwzięto drugie obliczenie ludności Stanów Zjednoczonych. Było 5,319,762 mieszkańców, wzrost o 1,400,000 w przeciągu 10 lat. Dochody powiększyły się z $4,000,000 w r. 1790 na $13,000,000 w r. 1800.

ROZDZIAŁ III.

Administracya Jefferson'a (1801—1809.)

Thomas Jefferson, trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych był w 58 roku życia, gdy objął zarząd kraju. Urzędy porozdawał Jefferson po większej części swym przyjaciołom — republikanom, lecz okazał takie umiarkowanie, że wielu federalistów przeszło do stronnictwa republikańskiego.

Zaraz na początku swej administracyi wystarał się o zniesienie wielu praw niepopularnych i nadużyć. W roku 1802 zmieniono część terytoryum północno-zachodniego na stan—Ohio, a w r. 1803 kupiono za $13,000,000 od Francyi Louisianę, która z rąk hiszpańskich była przeszła w ręce francuzkie; z tej prowincyi utworzono dwa terytorya: terytoryum New Orleans i okręg Louisiana.

Wzmiankowaliśmy poprzednio, że korsarze (rozbójnicy morscy) zabierali okręta amerykańskie. Pomimo traktatu, na mocy którego Stany Zjednoczone płaciły gubernatorowi Algeryi pewien haracz roczny, powtarzały się gwałty ciągle. Dla tego nie chciały Stany Zjednoczone dłużej płacić haraczu, za co basza Tripolisu wypowiedział im wojnę 10 czerwca 1806. Wysłano kapitana Bainbridge z flotą. Ten upokorzywszy cesarza marokkańskiego udał się do Tripolis, gdzie okręt „Philadelphia" wjechał na skałę a rozbójnicy zabrali załogę jego i wszystko co się na nim znajdowało w dniu 31 października 1803. Majtków sprzedano za niewolników. Okręt ten został później spalony przez porucznika Decatur, który na czele 70 Amerykanów podkradł się do niego i strzegących go Arabów częściowo wyciął, częściowo do morza wpędził. W roku następnym wyruszyło 70 majtków amerykańskich z Eatonem na czele i w towarzystwie kilkuset Egipcyan z Aleksandryi, a po 1000 milowym marszu pobili wojsko tripolitańskie dwa razy (18 maja i 18 czerwca), poczem basza zawarł pokój.

Dalszy ciąg nastąpi).